NUMER 6. DNIA 9-go LUTEGO 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

1) Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

„Aby wskrzesić... całe szeregi zmarłych pokoleń, niepotrzeba na to silnego polotu wyobraźni. Mamy je przed sobą i możemy dowolnie badać.

Odtworzenie przeszłości staje się sprawą opisową. Dzięki temu możemy na podstawie takiego materjału zbudować embrjologię wszystkich naszych urządzeń społecznych. Najodleglejsza nasza przeszłość społeczna istnieje i drga przed nami życiem“.

Letourneau.

WSTĘP.

Przedmiot, którym się na kartach niniejszych zajmuję, pociągał mnie już zdawna pomimo, że nie miał on w Polsce licznych pilniejszych przyjaciół, odliczywszy ś. p. Matlakowskiego i Gersona, a z żyjących, dr. Karłowicza, Witkiewicza i Wawrzenieckiego.

Zwłaszcza pisarze: Matlakowski, dr. Karłowicz i Witkiewicz zostawili trwały ślad w nauce i kulturze polskiej swojem zajęciem się „polską chatą“.

Za wyjątkiem jednak badań dr. Karłowicza, opartych w istocie swojej głównie na materjałach językoznawczych i na pewnych, raczej ogólnie zauważonych i pomyślanych cechach koleby, a zawartych w „Pamiętniku fizjograficznym“ w artykule „Chata Polska“, tudzież w szeregu uwag w Encyklopedji rolniczej, niema ani jednego uogólnienia, dotyczącego tak ważnej sprawy, dla naszej historji cywilizacji.

Piętno bowiem monografji miejscowej noszą na sobie wręcz pomnikowe prace nieodżałowanego Władysława Matlakowskiego, owe dwie księgi, omawiające „Budownictwo ludowe na Podhalu“, tudzież „Zdobienie i sprzęt“; ta ostatnia wydana już w najnowszych czasach.

Dzieła Matlakowskiego są zaprawdę kamieniem węgielnym budzącego się i rosnącego zamiłowania do swojszczyzny w dziale sztuki stosowanej.

Dzięki Witkiewiczowi znowu sprawa stała się w pewnej mierze popularną w Polsce, a wzmożona uwaga na sztukę i budownictwo ludu naszego zostawiła niejeden ślad w czasopismach obrazkowych, zwłaszcza w miesięczniku, ludoznawstwu poświęconym, we „Wiśle“, w postaci rysunków i notatek, dostarczonych przez panów Wawrzenieckiego, ś. p. Gersona, ś. p. Kopernickiego, Witkiewicza i Udzielę.

Dorywczo znaleźć można ustępy u wielu starszych naszych pisarzy, których oko, wciąż zresztą zwrócone ku szczytom społecznym, rzadko jednak zauważało zabytki dawnej kultury, tkwiące w nizinach ludowych; a jeśli czasem, jak u Zoryana Chodakowskiego, Kolberga, Kraszewskiego, Żegoty Paulego, Jaroszewicza, zwrócono oblicze w stronę ludu wiejskiego, to notowano wszystko, mowę, pieśni, obyczaje, opisywano stroje, rozkopywano mogiły i grodziszcza, poświęcając niezmiernie mało

słów sprawom ludowej sztuki stosowanej i budownictwa.

Przyczyna obojętności porozbiorowego szlacheckiego społeczeństwa tkwiła w pewnem nierozumieniu przeszłości i niechęci do „starzyzny“, jak nazywano dawniejsze zabytki.

Jakiś szał wyzbywania się, niszczenia i przerabiania, lub barbarzyńskiego sposobu „odnawiania“ najpiękniejszych pozostałości po dawnych czasach ogarnął naród nieszczęsny, grożąc przerwaniem całej nici kulturalnej, wiążącej ze sobą pokolenia.

Rujnacje bezmyślne w Krakowie, poczynione nietylko za rządów Republiki, zniesławionej zburzeniem ratusza pamiątkowego, jeszcze bezmyślniejsze odnawiania w Warszawie, jak np. katedry św. Jana przez Idzikowskiego w piątym dziesiątku 19-go stulecia — to są przykłady barbarzyństwa kulturalnego, napełniające goryczą serce badacza dziejów sztuki polskiej.

„Zdaje się, dwie tak rodzime dziedziny, w których bodaj powinniśmy mieć coś swego: rolnictwo i myśliwstwo, powinnyby ujść cudzoziemszczyzny; złudzenie, i w tem niema żadnej tradycji.

„Gdyby Mickiewicz zmartwychwstał i przyjechał do nas zapolować na szaraki, jak o tem marzył, zdumiałby się... Zginęły stare dwory lub pałacyki, wzorowane na łazienkowskim pałacu... Spotkać w domu szlacheckim dawniejsze meble, choćby z czasów księstwa Warszawskiego, lub stare sztychy, albo choćby listy wojskowych z lat 30, stanowiło dla mnie prawdziwą rzadkość“ pisze Matlakowski w przedmowie do „Zdobnictwa“ (str. 5).

Gorzej to, że na palcach prawie u jednej ręki policzyć można imiona artystów i uczonych, którzy bodaj w ołówku uwieczniali stare „graty“. Są to zmarli już, niestety, artyści, Gerson, Matejko i Podczaszyński, a zwłaszcza nieodżałowany Łuszczkiewicz, dalej uczeni: ś. p. prof. Łepkowski, a z działających energicznie do dziś, prof. Marjan Sokołowski i p. Władysław Łoziński, nie licząc wstępującego dopiero w znaki służebne młodego pokolenia, tudzież starszej generacji dyletantów.

Oto grono tych, którzy jednostkową pracą to tworzyli, co gdzieindziej było zbiorową społeczną robotą.

Jeśli pomniki pysznego kościelnego, szlacheckiego i miejskiego budownictwa były w nieposzanowaniu, to cóż dopiero mówić o biednej chałupie włościanina, tak często niepozornie wyglądającej.

Silniejszą za to uwagę, ale Niemców, zwracała nasza kultura ludowa w dzielnicach, Prusakom podległych.

Praca Meitzena „Dom niemiecki w swoich ludowych formach“ (Berlin 1882), tudzież dzieło Henninga, szwagra Virchowa „Dom niemiecki w swoim historycznym rozwoju“ (Strasburg 1882) i ocena tych dzieł przez Hansa Lutzscha, zawierają nieco materjału dla poznania budownictwa naszego ludu.

Cenne i pięknie wydane szczegóły, odnoszące się do Litwy pruskiej i Kaszubów, zawarte są w tomie VII „Pomników budownictwa i historji sztuki Prus wschodnich“, o którym już pisaliśmy w niniejszym tygodniku.

Niemcy zabrali się do planowego zebrania szczegółów do historji rozwoju własnej chaty chłopskiej, a niemiecki związek architektów poczynił już ku temu pierwsze kroki.

Przykład powyższy, tak zachęcający pod wielu względami, zdaje się, że w Polsce nie tak prędko znajdzie naśladowców w licznem przecie gronie architektów i budowniczych.

Nawet biedna Ruś zdobyła się na wydanie tak pięknej i pod opisowym względem wzorowej monografji, jaką jest w wielu szczegółach nieoceniona „Huculszczyzna“ prof. Szuchiewicza.

Nauka o chacie w Polsce zasługuje przecież w zupełności, aby się nią szczerzej zająć. Jeśli dawne archiwalne zabytki i, tkwiące w mowie ludu naszego, w nazwach miejscowości i plemion, znaki słowne, pozwalają nam odczytywać pewne strony przeszłości, jak to dobrze pokazała praca prof. Wojciechowskiego o Chrobacji, to przecież mowa wiązanych bierwion, rozkładu mieszkania ludowego, rozmieszczenia i przechowania dobytku, tudzież zdobnictwa, w kształtach sobie właściwych najwięcej używanego, rozjaśniłaby wiele zagadkowych brzmień i nazw, związanych z dziejami cywilizacji polskiej.

Mowę jednak tych „wiązanych bierwion“ rozumieć należy, umiłowawszy ją we wszystkich zgłoskach oderwanych, jakiemi są: kłody, kloce, kołki, kozły, krokwie, sciela, okna, dźwirza itd., jakoteż w tej złożonej postaci, jaką jest dzisiejsza chata, zagroda, a wreszcie zbiorowisko zagród — wieś (wiec-wszech) i sioło, siodło, osada.

Trzeba bowiem zważyć, że w składzie, układzie i nazwach zagrody niema nic takiego, coby

niebyło wynikiem lat licznych rozwoju, nie mieściło w sobie stężałych wiekowo warstw kulturalnych, będących niegdyś koniecznymi warunkami życia w Polsce, a więc i życiem samem przodków naszych.

Dla historji zaś sztuki i budownictwa ojczystego, zwłaszcza dla zrozumienia niektórych form naszego ostrołuku i stylu odrodzenia, znajomość chaty chłopskiej w rozwojowem pojęciu, jest wprost nieodzowną.

Całe budownictwo miejskie drewniane podcieniowe, pewna strona wiązania i układu dachów, odbijająca się w formie renesansu polskiego, ma swoje źródło w składzie koleby włościańskiej.

Praca niniejsza nie będzie i nie może być wyczerpaniem zagadnienia, wymagającego jeszcze roboty społeczeństwa.

Archiwalny materjał i osobiste zdjęcia dają jednak w połączeniu z innemi pracami, zwłaszcza nie dość ocenioną rozprawą dr. Karłowicza, pewną całość, która i dla szerszego społeczeństwa, o ile sądzę, bez interesu nie pozostanie.

Rozprawa dr. Karłowicza, ugruntowana, jak to zresztą z jego kierunku naukowego wynika, na danych, z językoznawstwa wziętych, opiera się głównie na właściwościach rozkładu chaty i zagrody, a pomija natomiast to, co dotyczy składu, odrębności kształtów i form zdobienia koleby.

Pracę niniejszą uważać należy za skromne dopełnienie powyższego braku w rozprawie dr. Karłowicza. A jeśli w biegu niniejszej pracy pozwolę sobie dodać wnioski, z brzmień słownych wzięte, i porównawczo ocenione, to kierownicą moją po zawodowo mniej mi znanych falach będzie istota i tło życia mieszkalnego i gospodarczego zamarłych pokoleń, a nie — u mnie tembardziej — bezpłodne stosowanie oderwanych zasad o wyłącznie brzmieniowem pokrewieństwie wyrazów.

Będę to zaś czynił w imię metody, którą jedynie na dzisiaj uważam za korzystną dla badania niniejszego, a którą uzasadnić postaram się niżej.

Kazimierz Mokłowski.

List Beniowskiego.

Maurycy August hrabia Beniowsky, dziedzic wioski Werbowa na Spiżu, zajął na schyłku XVIII stulecia w poczcie rozgłośnych awanturników: księcia Karola de Nassau, Cagliostra, księcia de Ligne, Jana hrabiego Potockiego, wybitne stanowisko, opromienione już dziś baśnią czarów osobliwych, satyrycznym poematem Słowackiego i uczuciowym romansem pani Mühlbach*). Czytając czterotomowe pamiętniki, własną ręką jego po francusku skreślone **), doznaje się oszołomienia pod wpływem barwnej, porywającej opowieści i mimowoli przenosi się myśl w czasy rycerskiego średniowiecza, lub w arabskie bajki, z dziecinną naiwnością gawędzące o walce jednego bohatera z olbrzymimi zastępami kalifa.

Beniowsky'ego wzięto w niewolę w czasie konfederacji barskiej pod murami Krakowa i zesłano na posielenie do kamczackiego miasta Bolschy, skąd wraz z całą partją towarzyszy zdołał umknąć w porozumieniu z córką gubernatora Nilowa, Afanazją. Po długiej, obfitej w przygody Odyssei między Chinami, japońskiemi wyspami i brzegami Afryki zachodniej, dotarł zbieg do Madagaskaru. Ze wszechmiar interesujące losy tej dziejowej postaci, jej własnemi opowiedziane ustami, wywołują często niedowierzanie; — dlatego może

*) „Graf Beniowsky“.

**) Przetłómaczone na polskie w r. 1798, drugie wydanie, uzupełnione zostało odnalezionym rękopisem przez Jaksę Bykowskiego w „Przewodniku naukowym i literackim“. Trzecie wydanie ukazało się w „Czytelni Polskiej“, nakł. ś. p. Szczepanowskiego.

nieobojętnem będzie, szczególnie wobec niemieckiego dzieła Rudolfa Hartmanna*), wiadomości w pamiętniku podane, w jednym przynajmniej epizodzie skontrolować, stwierdzić i rozszerzyć listem Beniowsky'ego, pisanym do bezimiennej osobistości. Ważny ten i ciekawy dokument spoczywa w kodeksie rękopisów Nr. 2888 archiwum XX. Czartoryskich w Krakowie.

Zaledwie Beniowsky zawinął do portu Dauphin, na Madagaskarze, nawiązał rokowania z ministerstwem Ludwika XVI-go, o oddanie wyspy pod królewski protektorat, a wzamian domagał się odpowiedniej pensji i zaciągów wojskowych. Przedstawienia jego przychylnie przyjęto w Paryżu, powołano go do Wersalu i ostatecznie zezwolono mu zakładać z ramienia Francji osady, które miały być wyposażone ze skarbony państwowej.

Madagaskar był ważnym punktem handlowym, dlatego Beniowsky nie wątpił w szczerość intencji księcia d'Aiguillon. Tymczasem najbliższa p r z y s z ł o ś ć gorzkie mu miała przynieść rozczarowanie. Francja o nim zapomniała, gubernatorzy wysp sąsiednich, Ternay i Maillart, pałając zazdrością, fałszywe rządowi przesyłali raporta, a hrabiemu nie dostarczali najniezbędniejszych zasiłków: żywności, ludzi i broni. Rozpaczliwy ten stan najlepiej ilustruje list Beniowsky'ego z Boulogne, z 25. czerwca 1778 r., który ze względu na wyjątkową ważność in *extenso* zamieszczamy**).

„Jaśnie Wielmożny Panie!

Pan Sartine zaszczycił mię pismem, oznajmiając, że król postanowił przekształcić oddział moich ochotników i za oddane mu usługi wynieść mię do godności brygadyera i wypłacać 1000***) pensyi ze skarbu publicznego. Tak pochlebna łaska przenika serce moje żywem i pełnem uszanowania uznaniem i jedyne z niego wysnuwam życzenie, aby uczynić moje usługi i nadal pożądanemi dla J. kr. Mości. Co do jednego tylko pozostawił mię p. Sartine w niepewności, o tyle boleśniejszej, o ile majątek mój nie idzie w parze z mojem urodzeniem. Żadnej nie mam fortuny, prócz męstwa, trochę doświadczenia, zapału i zdolności, wyniesionych z pola walk, które też serdecznie pragnę zużyć na korzyść J. Kr. Mości. Lecz zrozumie J. W. Pan, że jestto niemożliwem żyć z dochodu 4000. Trudności obecnie namnożyły się, wskutek wydatków wyczerpał się mój kredyt na Madagaskarze.

W tak ciężkich okolicznościach niech się wiel. pan da uprosić o zaskarbienie dla mnie nowej łaski J. Kr. Mości, któraby mię do jego służby przywiązała i wsparła, aż inny znajdę urząd...

Łaski te nie pójdą na marne! Przecież żadnemu z poddanych nie ustępuję ani w przywiązaniu ani w gorliwości! Jaśnie Wiel. Pan zobowiąże mię bardzo, jeżeli raczy p. Sartine nakłonić do zwrócenia mi długu. Załączam kopję listu, posłanego ministrowi.

Boulogne 25. czerwiec r. 1788.

Hrabia Beniowsky“.

List ten wrzucono do kosza, jak się okazuje z przypisku, na boku jego nakreślonego: „*lettre à laquelle il n'a pas été fait de response, et qui n'entrant dans aucune des correspondances, avoit été condamnée au rebut*“. Było to lekceważenie i krzywda nie do zniesienia.

Beniowsky gotów był zatem zrezygnować nawet z zajmowanego z rzetelnem poświęceniem stanowiska, kiedy w najzawilszych kłopotach szczęście mu samo się narzuciło w postaci zgrzybiałej murzynki, która rozszerzyła wieść o jego pochodzeniu z monarszej, wygasłej dynastji Raminich.

Naczelnicy klanów zażądali, aby się ogłosił ampansakabo, czyli królem i na zawsze wyrzekł przyjaźni francuskiej. Beniowsky zgodził się na wszystko, nie dał się jednak uwieść szałowi dumy i raz jeszcze osobiście postanowił zakołatać do Wersalu. Zanim przestąpił pokład statku, pełne tęsknej wątpliwości i smutku w dzienniku zanotował słowa: „podróż ta azaliż nie zmieni nieszczęśliwych okoliczności, które mię dotąd otaczały, a jeżeli życzenia moje względem osady Madagaskaru będą wysłuchane, czy zostaną naprawione błędy ministra“?

Na tem urywają się zapiski.

Późniejsza ręka uzupełniła je wiadomością, że okrążając Brazylję, powrócił na statku *l'Intrepide* do swojej monarchji, podejmowany po drodze przez władców wschodniej Afryki. Podróż

*) Madagaskar: Dzieło to stronnicze, krzywdzące, zawiera ocenienie działalności Beniowskiego. Tem też chętniej stwierdzamy nie awanturniczość przedsięwzięcia hrabiego, lecz opieszałość i niechęć Francji.

**) Bardzo niewyraźny list, po francusku napisany.

***) W tekście nie podany rodzaj monety; zapewne są to ówczesne *écus*.

do Francji nie odniosła widocznie żadnego skutku, gdyż w Paryżu bano się awanturniczych planów Beniowsky'ego. Dnia 23 maja 1786 r. wylądowały cichaczem na brzegach madagaskarskich oddziały wojennej marynarki i podstąpiły pod redutę, *St. Louis*, naprędce przez hrabiego okopaną. Szczęknęła broń i posypał się grad kul w kierunku szańców; ich dowódzca, w pierś raniony, przegiął się i runął na wznak, a zwycięski nieprzyjaciel zawlókł ciało ku morskiej fali.

Ernest Łuniński.

Wóz i kareta.

(BAJKA.)

Dziwnym dosyć wypadkiem, na miejskiem podwórzu
Stanął prosty wóz chłopski przy czyszczonej z kurzu,
Wielkopańskiej karecie na gumowych kołach.
Zwykły wóz, rozwożący snopy po stodołach,
Przy gnącej się pod hrabią angielskiej karecie —
Tak to na świecie!

Kareta, zobaczywszy skromnego sąsiada,
Co właśnie przywiózł siano rumakom jej pana,
Ani do niego zagada.
Gniewem zabłysła szyb powłoka szklana,
Lecz modny pojazd (święta konwenansu władza!)
Z uczuciem swem się nie zdradza.
Zwyczajem, nie od dzisiaj utartym w salonie,
Wzrokiem gdzieś błądzi na stronie,
I ekwipażu, którym powożą fornale,
Nie widzi wcale.

Ale koła, przybrane w gumowe obręcze —
Jak zwykle pańskie sługi —
Harde, choć — czy w terminie płacone, nie ręczę —
Spojrzawszy raz i drugi
Na okutą żelazem brać swoją wozową,
Za słowem słowo,
Dalejże chłopskiej furze przyganiać wyniośle:
— Ty stary ośle!
Jak śmiałeś obok jasnej zatrzymać się pani.
Twój ordynarny turkot nerwy nasze rani...
Stuku, puku
Po bruku —
Hałasu tyle czynisz, wioząc swoje siano,
Jakby ci żywcem osie i sprychy łamano.
Precz stąd, bo zawołamy zaraz na szwajcara;
Nie minie cię, brudasie, zasłużona kara.

— Ciszej łyki! — wóz mruknął, cofając się nieco —
Próżno te iskry złości ze ślipiów wam lecą.
Krzyków się waszych nie straszę.
Cofnąć się — to się cofnę, nie chodzi ta o to,
Lecz nikt na świecie bez ale:
Darmozjady z was — tu się pracuje wytrwale,
Hałaśliwym — wy wkoło rozsiewacie błoto,
I wy, i pany wasze!

Wł. Bukowiński.

CZARODZIEJ WSPÓŁCZESNY.

LEOPOLD STAFF: „MISTRZ TWARDOWSKI“

(Pięć pieśni o czynie.)

W swoim czasie scharakteryzowałem już p. Staffa, pisząc przed rokiem mniej więcej o pierwszym zbiorku jego poezji pt. „Sny o potędze“. Wychodząc wówczas z założenia, że autor sam już w tytule z góry dał w pewnej mierze do zrozumienia, czego należy szukać w jego utworach, że to są „sny“ dopiero, choć sny „o potędze“, zarzuciłem głównie p. Staffowi zbyt już gotową formę poetyckiego ujęcia. Było w tem zawarte podejrzenie, że skoro w wierszach tych, jako

pierwszych, nie widać łamania się żadnego przy wtłaczaniu żywych myśli i uczuć w kombinacje gotowych słów, to chyba te myśli i uczucia są tylko pewnemi modyfikacjami innych, odczuwanych i formułowanych już przed tem. Kto ma wyobrażenie o tem, jak każda myśl nowa kaleczy formę, jeżeli nie chce sama być skaleczoną, temu na widok tak dalece gotowych już wierszy u poety, który dopiero rozpoczął swój zawód, musiało przyjść na myśl takie podejrzenie.

Wówczas także zastrzegłem się przeciwko temu, jakobym pomawiał p. Staffa o ordynarne naśladownictwo pod względem formy, w tem rozumieniu tego wyrazu, jakoby on miał wprost zapożyczać się w obrazach, formułach myślowych i t. p. Chodziło mi o to, że jego podniety w „Snach o potędze“ nie idą, ani w głąb, ani wszerz dalej, niż w snach jego poprzedników, i na dowód przytoczyłem pomiędzy innymi owe böklinowate fauny i satyry, które, tułając się po poezji współczesnej, baraszkowały sobie i pomiędzy wierszami p. Staffa. W zarzucie tym tkwiło przekonanie, że p. Staff odczuwa i rozumie świat i siebie nie bezpośrednio, lecz jakby z drugiej ręki, a przedstawiając to potem innym w swoich wierszach, występuje już tylko jako ten, który *refert relata,* osobiście mało angażowany. Tem tłomaczyłem sobie poprawność formy i chłodną czystość jej w konturach. Kto po raz pierwszy ma jakiś ruch, jakiś rys przetłómaczyć na linję lub plamę, tego rysunek nie będzie nigdy tak zdecydowanym i jasnym, jak tego, który już gdzieś widział takie tłomaczenie.

Przypominam teraz te uwagi dlatego, iż w „Mistrzu Twardowskim“, zauważone powyżej cechy, jak i wysnute z nich wnioski o źródle natchnień młodego poety, znajdują zastosowanie, tylko zmodyfikowane nieco i jaśniej już wyrażone. O ile utwór ten jest postępem, o ile w nim objawia się jakiś wyższy stopień szczerości uczucia i pracy nad uświadomieniem sobie własnego stosunku do świata, o ile wreszcie pod tym względem jest on „literaturą“, a o ile zawiera rewolucję przeciwko niej na rzecz nowego porządku w gospodarce własnego ducha, to znajdzie się poniżej, w miarę jak stopniowo odsłaniać się będą to te, to owe strony dzieła.

„Mistrz Twardowski“ jest syntezą pewnego okresu rozwoju duchowego, dla której podanie o „polskim Fauście“ jest tylko psychologicznem rusztowaniem bez pretensji autora do wierności historycznej. Dzieje Twardowskiego nadawały się na dekorację, jako fantazja, której z jednej strony nie szkodzi, gdy się ją tu i ówdzie wydmie, lub skurczy, a która z drugiej strony sama zawiera już sporo aluzyjności, dającej się spożytkować doskonale w utworze tego rodzaju. Niezawodnie, że trudniej by poszło albo zastososować się do życia, albo sobie jakiś całkiem nowy świat stworzyć, ale to, że ten symbol gotowy nie wiele sobą zaprząta uwagi i jest tylko pozorem przyczepienia duchowej treści utworu gdzieś choć na jednym punkcie do ludzkiego świata—to wszystko sprawia, że p. Staff idąc tu za panującym w literaturze prądem, nie popełnił grzechu śmiertelnego.

Twardowski p. Staffa to człowiek z rodziny dusz, przeznaczonych do przecierpienia mąk za świat cały, urodzony „mściciel męki“. Z jego urodzeniem ginie matka, i pozostaje mu tylko ponury, smutny wiecznie ojciec i rówieśni, których od dzieciństwa unika, przebywając chętniej w mglistych regionach marzeń. Zatem zwolna umiłowuje naturę, ziemię, lud prosty, a mając duszę skłonną do oddźwięku cudzych cierpień, i pragnąc od nich naród swój wybawić, bierze w rękę krwawiące ludzkie serce i idzie w drogę, aby szukać cudu. W niezmordowanem dążeniu do odkrycia źródeł szczęścia ludzkiego i swego, na wydzieraniu tajemnic przyrodzie i księgom, wśród kolejnych wzniesień i upadków ducha, spływa mu tyle czasu w zupełnem odosobnieniu, że go ludzie całkiem zapomnieli. A gdy w końcu, zapragnąwszy słońca i ciepła, na świat się wychylił, poznał, że ludziom stał się obcym. Spotkał tylko dziewczynę, co umiłowała jego bladość; przystaje obok niej na chwilę, ale surmy drzemiącego w jego wnętrzu czynu, tęsknota doń prą go dalej.

W śpiewie trzecim widzimy Twardowskiego w mieście królów, wśród mędrców i ludu mnogiego, który jednak zamiast po wybawienie, po czyn, przyszedł doń po cuda i leki tak, że rozczarowany mistrz musiał odpędzać krzykliwą rzeszę i cofnął się w wiejskie ustronie. Za nim w ślad poleciały rozmaite opowiadania o jego czarach. Jego cierpienia i trudy wzięto za skutki komitywy z szatanem, jego pracę za świętokradcze obrzędy, a moc, którą mu dało dążenie do

czynu, za prostą siłę szatańską. Wreszcie, gdy te bajania przeszły miarę, gdy urósł w oczach ludzi na olbrzyma, zbyt niebezpiecznego dla ich spraw codziennych, wówczas chcą go zgubić. Ale on mocą duszy swej trzyma ich na uwięzi i przechodzi mimo, nienaruszony, a pogardziwszy nimi, zamyka się w pragnieniu własnego szczęścia. Nastaje okres zwątpienia, ciszy, wstrętu do siebie i do człowieczego rodzaju, wraz z jego niwelacyjnymi dążnościami. Mistrz rzuca mu w twarz wyrazy swej obojętności i ironicznego pytania:

„Ja winien, żem wam cisnął głaz, chcąc rzucić serce?“

I znowu długi okres samotności; mistrz oddaje się swojej duszy i z tego związku pełnego pragnienia czynu ma począć się dzieło. Mistrz słysząc „cudne dzwony na Poczęcia święto“, jak mąż żonie, co ma zrodzić syna, znosi swej duszy najpożywniejsze produkta natury, radując się przyszłym potomkiem, przebacza w tej radości wszystkim, a nawet w czynie tych, co go głupio odtrącili, dopatrzyć się gotów nie pobudki właściwej, lecz szlachetnej dumy ludzkiego plemienia, co nie chciało przyjąć jałmużny i odpędziło od siebie jej dawcę. Więc jemu zamierza mistrz poświęcić swoje dzieło, jego szczęściu oddać ten owoc swojej żądzy czynu. Ale kiedy przychodzi do ludzi, miast dumnych istot, zastaje tłumy z ręką wyciągniętą po jałmużnę szczęścia. Zdejmuje go wstyd, odraza i ucieka do samotności, aby wśród szczytów, małym zostawiwszy szczęście, szukać dla siebie tylko własnej prawdy. A ludzie powiedzieli, że Twardowski uciekł, bojąc się zrealizowania kontraktu z szatanem, i poszła po świecie baśń o czarowniku, co chciał umknąć przed czartami. Tymczasem mistrz samotny rozprawiał się z tym, co go „pełnym błędów stworzył, jak twór lichy“ i rozprawiwszy się, zapowiada:

„Więc odchodzę od Ciebie, dawny stary Boże!
I już nie będę nigdy ja przed tobą cichy!
Samemu sobie zdany, dziś sam siebie tworzę!“

Formułuję zarzut literackości utworu, nie odnosząc tego do faktu użycia baśni. Zresztą formie tej zawdzięcza on wiele bardzo pięknych opisów, jak np. całe dzieciństwo mistrza, wizerunek ojca, pożar chaty, zachowanie się tłumów w rozmaitych okresach żywota Twardowskiego, tłomaczenie sobie przez ten tłum jego czynów itd. itd. Dużo wdzięku ma przedstawienie narodzin baśni, powstałej z niezrozumienia przez tłum wewnętrznych duchowych przejść Twardowskiego. Ale Staff może ani wiedział, jak świetny przykład takiej transpozycji poetycznej dał w tem, na określenie istoty swego utworu. Oto jego „Mistrz Twardowski“ to także tylko bajka o ewolucji duszy ludzkiej, opowiedziana wedle tego, jak odczuli, czy zrozumieli je najlepsi może z jego współczesnych, a tymczasem duch ludzki uciekł od nich i na niedostępnych dla nich szczytach, pokłóciwszy się ze swoim bogiem, może w zupełnie inny sposób tworzy samego siebie.

P. Staff, opisując bunt duszy ludzkiej, sam nie zbuntował się przeciwko pojmowaniu świata, i siebie samego, jako jego środka. Nie pobrał, jak wyżej powiedziano, niczego żywcem, przeciwnie po większej części przeżył to, o czem opowiada, ale i podniety i sam zakres tego przeżycia otrzymał już w formie gotowych rezultatów.

To też wchodzić merytorycznie np. w to, czy p. Staff ma rację, przedstawiając życie wewnętrzne, jako walkę ducha z rzeczywistością o zaspokojenie jego żądzy czynu, niepodobna, bo trzeba by się właściwie rozprawiać z całą falangą tych wszystkich „wielkości“, które na życie patrzyły pod takim kątem filozoficznego zapatrywania. Podobnie jest także z takimi szczegółami, jak powtarzająca się konieczność przezwyciężania się, osamotniania, lub podniecania żądzy życia itp., za które odpowiedzialnym jest Nietsche ze swoją tresurą człowieka na nadczłowieka. Tak samo jest wreszcie i z wpływem Dantego na koncepcję „Mistrza Twardowskiego“ i Słowackiego, z epoki „Króla Ducha“ na budowę i łączenie poetyckich obrazów. Stwierdzić tylko można ogólnie, że, jak założenie filozoficzne utworu jest kombinacją takich jednostronnych zapatrywań filozoficznych, tak i przeprowadzenie ich w szczegółach wynika także z pokombinowania środków artystycznych, jakimi się posługiwać mogli tylko ludzie, którzy z tej, czy z owej strony na świat i życie patrzyli.

Ci, co to robili po raz pierwszy, czując, że to coś nowego, mogli przeoczyć, że wszystko się w tem nie zmieści i dać swoim utworom tę twórczą wielmożność, której pozory ma także utwór p. Staffa. Ale on powinien był uniknąć tak wyniośle osobistego tonu, jeżeli miał poczucie, że poza tem jest coś więcej, gdyby czuł ciasnotę tej skorupy i potrzebę zrobienia wyłomu. Powiedziano już dawno, że nazwa jest grobem kwestji. Człowiek

za życia tak silnie się charakteryzuje, że mu do jego istoty nazwisko niepotrzebne ; dopiero na nagrobku dla określenia kim był pogrzebany. Stosując to do myśli, stwierdzić należy, że skoro raz jest sprowadzoną do określenia w kilku słowach, to już nie może być zbyt głęboką. Była nią wówczas, gdy ją pierwszy raz ujmowano w pierwotne dziecinne formy. Niektóre z nich wyżywają się już w samym twórcy, inne przeżywają go i potrzeba dopiero całego szeregu takich, którzy je coraz to lepiej określają i precyzują. Długość czasu i liczba potrzebnych na to ludzi, zależy od zakresu, jaki obejmują te myśli i od zdolności tych ludzi, którzy je przeżywają osobiście, oświetlają z rozmaitych stron i ograniczają coraz to dokładniej.

Do takich należy i p. Staff w „Mistrzu Twardowskim“. Patrząc na świat i siebie pod wspomnianymi powyżej kątami, jest on niejako ich artystycznym wykładaczem na podstawie własnych doświadczeń. Stąd możliwość abstrakcyj równowagi, stąd wirtuozowstwo formy. Że zaś myśli, zawarte w utworze, są w znacznej części jeszcze młode, nie porozjaśniane, że p. Staff, rzucając indywidualne światło w ich załomy, dał się unieść złudzeniu, jakoby sam tworzył, to łatwo sobie wyobrazić. Wogóle tak, jak pomysł urodził się w znacznej mierze z oszołomienia się szumem sprawianym przez tzw. zagadnienia duszy ludzkiej, i z upojenia się tem, że we własnem życiu odkrył do nich analogję, tak i książka w całym tonie swoim wskazuje, że p. Staff wciąż jeszcze jest zahypnotyzowany tem, co się zazwyczaj nazywa wielką myślą, pięknem zdaniem, poetycznem działaniem etc. etc. Pod wpływem tej hypnozy woli on być wielkim, poetycznym, niż szczerym. Gdyby nie to, krytycyzm jego obaliłby niezawodnie niejedno z takich „wielkich“ zagadnień, dostrzegłby, że cała wartość ich ogranicza się często na materjalnem działaniu słów, na symetryczności itp. Gdyby to zrozumiał, wówczas pewnieby zebrała go chęć buntu osobistego przeciwko tej hypnozie, która dotąd pęta w nim może myśl twórczą i niezależność jej objawienia.

A jednak „Mistrz Twardowski“ jest książką i ważną i o wielkiej wartości. Ważną jest, bo zawiera myśli dużo, bo obejmuje nimi zakres szeroki. Wartość zaś jej, poza wspomnianymi już zaletami, stanowi przedewszystkiem to, że jest jedyną we współczesnej literaturze pięknej próbą poematu filozoficznego, którego autor ani nie usiłował popisać się kulturą, ani erudycją, jak Mirjam lub Lange, ani dbał o specjalną efektowność. P. Staff jest czarodziejem, który zaklął myśl współczesną w formę barwnych i plastycznych opisów przejść osobistych i tak stworzył jeden z piękniejszych dokumentów cywilizacyjnych swojej epoki, który wśród dzieł współczesnych zajmie miejsce poczesne. W czasie przejściowym, jak nasz, gdzie doniosłość przechodzi w aktualność, a oryginalność w sensacyjność, już ta doza uczciwości autorskiej jest zjawiskiem poważnem.

Czy p. Staff pójdzie dalej, czy wyzwoli się z współczesności na tyle, żeby dodać do niej coś całkiem od siebie, choćby mniej może wykończonego i drobniejszego, czy wykaże kiedy, że odczuwa życie jako wielką umówioną złudę, której maskę potrafi zdzierać na korzyść ludzkości? Jest młody, a ostatnie słowa „mistrza Twardowskiego“ zawierają coś, jakby zapowiedź rewolucji. Szumnym słowom nie dowierzam, ale widząc zmiany w nim, czekać należy na nią, jako na tę, która pozwoli nazwać go czarodziejem bez ograniczenia współczesnością.

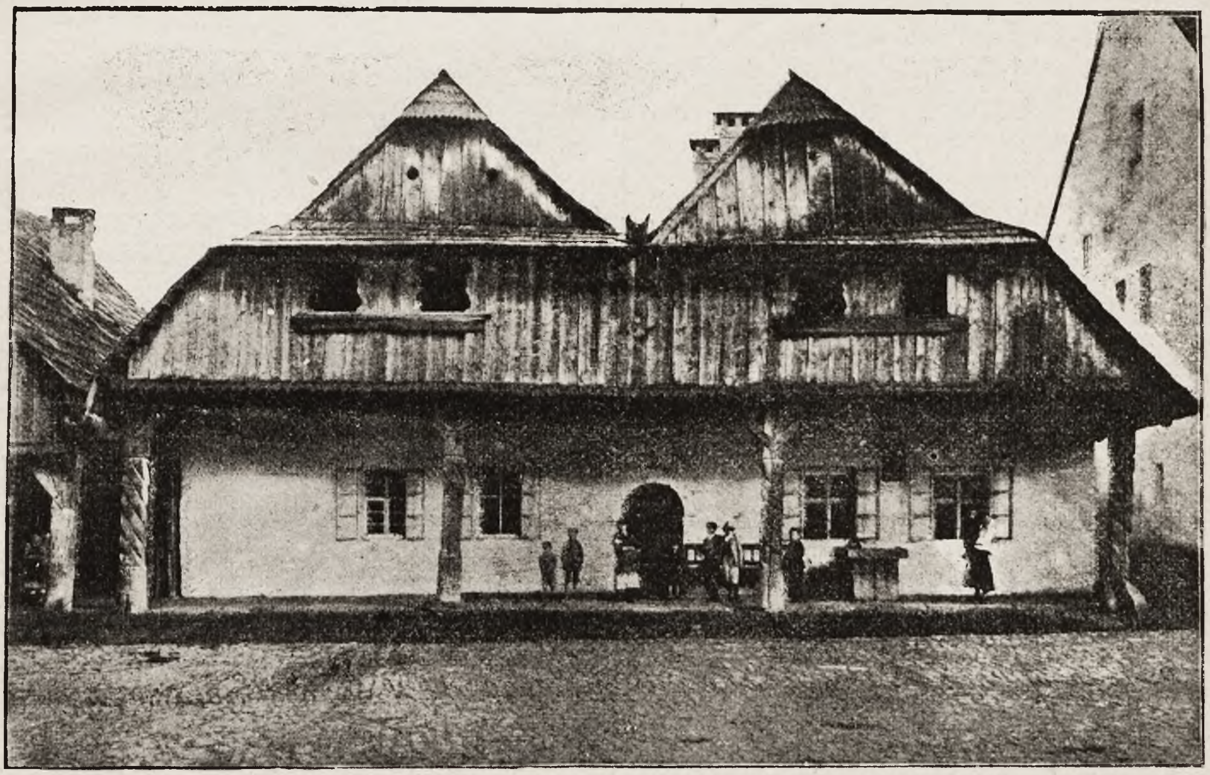
Stanisław Womela.

Dom bliźniaczy podcieniowy w Jabłonkowie na Śląsku.

Niniejsza fotografja odnosi się do wystawionych również w Krakowie zdjęć ze znamiennych dla Polski, domów podcieniowych drewnianych. Przy sposobności omawiania w „Tygodniu“ zagród podmiejskich na Łyczakowie, daliśmy typ przejściowy od chaty włościańskiej do zagrody

małomieszczańskiej. — Widzieliśmy, jak właściwe zewnętrze od ulicy — wrota, pięknie były ozdobione i starannie obrobione. W domach podcieniowych ujrzymy dalsze ogniwo rozwojowe. Chaty lub domki podmiejskie w miarę zbliżania się ku miastu gęścieją — a stykając się prawie ścianami, wytwarzają sobą z czoła, jeszcze ku ulicy zwróconego, nowy front. — Ścięcie dymnikowe u szczytu, służące w kurnych domach miasto komina, rośnie i ozdabia się. — Ponieważ nasze miasta mają wybitny typ przewozowo-handlowy, czego świadectwem są wyraźnie szerokie ulice we Lwowie, Krakowie, Warszawie i prawie wszystkich polskich miastach, przeto najpilniejszą uwakcję, zasadzającą się na tem, że pokrycie zewnętrzne rozkłada się na szereg dachów, opatrzonych rynną u zbiegu pochylonych płaszczyzn dachowych. — Dach ten staje się niezmiernie znamiennym dla murowanego renesansu polskiego i jest jednem z najoryginalniejszych rozwiązań pokrycia domu większego. Na wizerunku załączonym widzimy powyższy sposób, w postaci dachu bliźniaczego podany. Szereg zdobień na słupach i oknach, czyni zaś ów okaz budownictwa polskiego tem więcej interesujący.

Na domy podcieniowe zwrócili pierwsi uwagę Matejko i Gerson. Pierwszy rysował Wiśnicz przed spaleniem, który był cały zabudowany ta-



gę zwracano na towary, które, ze względu na prawo składowe miejskie, musiały być często wyładowywane. Dżdżysty klimat Polski wywołał więc zupełnie samorodnie, podcienia na słupach pod domami, kędy bezpiecznie od deszczu i śniegu towar wyładowywać było można. — Natomiast wewnętrzny układ, a zwłaszcza zestawienie dachu czołem do ulicy, pozostaje niezmienne i wytwarza szczególną, Polsce właściwą konstru-

kimi domami, drugi dał szkice domów drewnianych Piotrkowskich, przed wielkim pożarem tego starego polskiego miasta... Rysował podobne domy też p. Wawrzeniecki. Autor niniejszych słów, znalazł na Pokuciu bardzo jeszcze liczne okazy ozdobnego budownictwa podcieniowego, które mają być również niebawem ogłoszone w wydawnictwach Akademji umiejętności.

K. M.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Nie zniósł przecież... Pewnego dnia przyszła wiadomość o jego śmierci. Prosta, urzędowa wiadomość bez szczegółów... Pani Teresa nigdy nie dowiedziała się więcej. Czyniła starania, posyłała nawet na miejsce śmierci, by odnaleść ciało jego i przywieść do kraju. Wszystko napróżno. Grobowiec Zmarskiego istniał tylko w sercach tych, którzy go znali.

Pani Teresa w rozpaczy winiła sama siebie, że poszła za jego wolą. Czyż mąż nie był jej pierwszym obowiązkiem. Ona nie dałaby mu umrzeć, umarłaby za niego, lub umarła z nim razem.

Lękano się zrazu, że tak będzie. Ale była to jedna z tych kobiet, co pod wątłą powierzchownością kryją hart żelazny. Wszakże została tutaj, by pracować dalej za siebie i za niego. Pracowała więc niezmordowanie.

Już drugie pokolenie chowało się w Malińcach bez ojca. Dzieci jej pójdą drogą, jaką on im wytknął, spełniać będą dalej to, co spełniali dziadkowie i rodzice, a Ignaś wybierze sobie żonę, a ona ją pobłogosławi, gdy Marynia pójdzie za mąż, czekać już tylko będzie spokojnie chwili wyzwolenia, która połączy ją z ukochanym.

Z tą myślą spoglądała na moczary. Ich gorąca czerwień teraz pociemniała, chmura, rozwieszona na zachodzie, rozwinęła czarne skrzydła, rzucała na wszystko ponure odblaski, zerwał się wiatr burzliwy i niósł ją, tak szybko, że zajęła już połowę horyzontu. Krwawe plamy wód przyjęły kirową barwę.

II.

Sad na popowszczyźnie utrzymany był bardzo starannie. Każde drzewo okopane, obrane z liszek, z podporami tam, gdzie gałęzie uginały się pod bogactwem owoców, wyglądało tak, jak gdyby było jedynym celem czyjejś pieczołowitości. Tak też i było, Jedniewicz większą część życia spędzał w ogrodzie, drzewa, pszczoły, gołębie zajmowały go daleko więcej od nabożeństwa, które odprawiał pośpiesznie, byle zbyć.

Bo też odprawiał je niewiedzieć dla kogo. Wieś cała patrzała na niego krzywo, a od cerkwi stroniła, jak od ognia. W niedzielę, a częściej jeszcze w carskie święta przyjeżdżał *uriadnik*. Wystawał w cerkwi z urzędową powagą, bił pokłony i spełniał to, co do niego należało. Pop także spełniał swoje, tylko lud na nabożeństwo nie przychodził, a gdy kogo *uriadnik* napędził, napędzony znikał z cerkwi, skoro tylko napędzający oczy odwrócił.

Nie można się więc było dziwić, że Jedniewicz wolał sad od cerkwi, a drzewa i zwierzęta od ludzi. Rówieśnicy jego z Maliniec — w których dziad jego i ojciec byli unickiemi księżmi, mówili, że za młodu kochał bardzo żonę i dzieci, że był dobrym i wesołym człowiekiem. Ale było to jeszcze wówczas, gdy cerkiew była unicka, bo jakimś cudem ostała się ona dużo dłużej od innych. Ci, co nie wierzyli w cuda, twierdzili, że był to prosty skutek łapówek właścicieli, którzy na ten cel nie szczędzili starań i pieniędzy. A że Malińce leżały na skraju dwóch powiatów i stanowiły terytorjum sporne, można było rzecz zagmatwać i, w razie kłopotu, odrzucać sobie wzajem odpowiedzialność.

Jakimkolwiek sposobem się to stało, dość, że dopiero za czasów *wieszatiela* zjechali do Maliniec popi, żandarmi, sprawnicy, przerobili cerkiew unicką na prawosławną, unickiego księdza na popa, a ludności ogłoszono, że zmieniła religję. Kto się nie zgodził, tego bili, katowali, więzili. Wielu wywieziono na Sybir.

Od tego czasu, Jedniewicz tak się odmienił, że poznać go było trudno. W jego okrągłych oczach zagasły wesołe iskry, które nadawały mu wyraz dobroduszny, oczy te unikały teraz ludzkich spojrzeń, stały się niespokojne, ponure. Zamiast czerstwego rumieńca, wystąpiły mu na policzki sine plamy.

Nie dziw, Jedniewicz zaczął pić. Z żoną żyli teraz, jak pies z kotem. Ona głośno nazywała go pijanicą, niezdarą, głupcem, on jej nie odpowiadał, tylko wodził za nią żałośnym wzrokiem, a czasem oczy iskrzyły mu się taką złością, że aż nirowie

przechodziło. Miał widać do niej jakiś straszny żal. Spadło na niego nieszczęście. Dzieci mu umierały. Naprzód dwóch starszych chłopców pochował w jednym tygodniu, a potem, co które przyszło na świat, to tylko rodzicom na żałość; ładne były, rozwijały się, niby różyczki i padały po kilku latach, jak kosą podcięte.

Ludzie szeptali, że to kara boska na odstępcę, i Jedniewicz słyszał to nieraz. Z kilkorga została się tylko najmłodsza córka, Nacia, teraz już dorosła. Według wyobrażenia rodziców otrzymała edukację, bo skończyła gimnazjum w Mińsku. Ojciec patrzał na nią, jak w tęczę, a kiedy go pogłaskała po twarzy i przymiliła się, robił, co tylko chciała. Matka uważała ją za ósmy cud świata, pieściła, psuła, przewracała w głowie, jak mogła i umiała. Jedniewiczowa ładna była za młodu, ale miała niską, pospolitą naturę i ta wymalowała się z latami na jej obliczu, czyniąc z niej ohydną babę. Nazywała męża pijanicą, ale sama upijała się za jego przykładem, a wtedy rozpuszczała język i wypowiadała swe żale do niego. Największym był ten, że nie umiał robić pieniędzy, bo Jedniewiczowa, dla pieniędzy byłaby duszę oddała. Mąż przecież brał łapówki na wszystkie strony, ale jej zawsze było mało. Ztąd kłótnie zajadłe.

W końcu Jedniewicz wcale nie odpowiadał żonie i unikał jej, jak mógł. W lecie miał zawsze jakąś robotę w ogrodzie, albo też koło pszczół, których żona jego się bała; w zimie siedział w swoim pokoju przed kominkowym ogniem, pił na zabój i palił fajkę po fajce, wpatrując się w płomienie, jakby w nich widział obraz tego wszystkiego, co kiedykolwiek kochał i utracił.

Nacia po skończeniu gimnazjum przesiadywała chętniej w Rzeczycy lub Mińsku u różnych koleżanek, niż u rodziców, u których się okropnie nudziła. Dzięki matce, miała tak przewróconą głowę, iż marzyły jej się tylko stroje, cugi, pałace, patrzała z pogardą na całe swoje otoczenie. Ojciec chciał ją wydać za mąż, a trafiał się właśnie syn popa z sąsiedztwa, więc nierad był tym wyjazdom córki, ale Nacia była u niego jedynaczką, więc zawsze w końcu robiła, co chciała, tem bardziej, że matka stała po jej stronie. I kiedy żądała pieniędzy, dostawał je dla niej, choćby z piekła.

W kilka dni po powrocie Berwicza z Rzeczycy, Jedniewicz obchodził rano swój sad, a miał w nim dużo roboty, bo w nocy była burza, więc oglądał z żalem opadłe owoce, podnosił pochylone drzewa, przycinał złamane gałęzie i tak się tem zajął, że nie zauważył dźwięku dzwonka na drodze.

Na Litwie, dźwięk ten jest rzeczą powszednią, ale nie małej wagi. Zwiastuje on często nieszczęście, katastrofę, co najmniej kłopot, lub jedną z tych zwyczajnych nieprzyjemności, które jednak, powtarzając się ciągle, zatruwają życie.

O dzwonku pisał w „Dziadach“ Mickiewicz:

> Nieraz, gdyśmy wieczorem do stołu zasiedli,
> A ktoś żartem uderzył w szklankę noża trzonkiem,
> Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,
> Myśląc, że już zajeżdża feldjeger ze dzwonkiem.

Działo się tak na początku zeszłego wieku i dzisiaj dzieje tak samo, tylko feldjegra zastąpił żandarm, ale dzwonek pozostał zwiastunem osób urzędowych, a te przecież nigdy nic dobrego nie przynoszą.

Jedniewicz dzwonka nie zauważył, bo też nie był on groźnym dla prawosławnego takiego, jak on, który dla chleba wyrzekł się wiary. Skończywszy swoją robotę, siedział na ławce pod jabłonią, tworzącą rodzaj altany ze spuszczonych gałęzi. W płóciennym kitlu, w kapeluszu, splecionym z żytniej słomy, z siwą brodą i włosami w otoczeniu zieleni, miał wygląd patrjarchalny, tem bardziej, że skrzydła kapelusza, rzucały cień na twarz ciemnoczerwoną, nie znać też było niespokojnie biegających źrenic, bo miał oczy spuszczone. Patrzał on na ruchome plamy słoneczne, które przebijały kopułę liści, drżących od powiewu wiatru.

Wkoło świegotały wróble, przeskakując z gałęzi na gałąź, brzęczały pszczoły, niekiedy zawtórował im grubym dźwiękiem prążkowany bąk, zanim przysiadł na upatrzonym kwiecie, a różnokolorowe motyle przecinały powietrze zygzakowatym lotem.

Jedniewicz lubił takie upalne dnie letnie. Upajały go one tak, że mógł obejść się bez alkoholu i przepędzać długie godziny w milczeniu i ciszy. Przychodziły też na niego czasem takie dnie, w których zdawał się zapominać o świecie całym, choć kropli wódki nie wypił. Można było do niego mówić, nie słyszał, nie odpowiadał. Doprowadzało to, nie wiedzieć czemu, Jedniewiczowę do wściekłości. Krzyczała na cały głos, że mąż ma głupie myśli, które go mogą tylko o nieszczęście przyprawić i zaprowadzić do szpitala warjatów. Przerywała mu je też, jak mogła. Ale pop spoglądał wówczas

na nią takiemi oczyma, że odchodziła przestraszona, szepcząc „Patrzy jak zbój jaki.“

Taki dzień przyszedł właśnie na niego. Zapewne dlatego nie zauważył dzwonka, który wieś całą napełnił popłochem.

Jedniewiczowa pobiegła do niego.

— Ruszże się stary — wołała. — Nie wiesz co się dzieje.

— Albo co, pali się? — spytał, jak ze snu zbudzony.

— Jak Boga kocham — było to zwykłe zaklęcie Jedniewiczowej — czyś ogłuchł, czy co?

Pop zaklął także i spytał po raz drugi, co się stało.

— Stało się! stało to, co ja przewidywałam od tygodnia. Ot śledztwo o ten krzyż, co przecież sam się nie wyprostował. Jedniewicz drgnął, nozdrza mu się poruszyły, źrenice zabłysły, jak gdyby zagrały w nim jakieś dzikie instynkty. Ale to trwało tylko chwilę, spochmurniał i znowu zapadł w zadumę.

— Oj, gdyby ty był mądry — szepnęła żona.

— A kto ci powiedział, że mądrym nie będę — odparł stłumionym gniewem.

— Przysięgłabym, że to ta...

Ręką, skinęła ku dworowi, wymownym gestem nienawiści.

— Tylko ty pamiętaj sobie — wyrzekł groźnie i bądź cicho...

— A to czemu? Nikt mi nie zabroni powiedzieć co myślę.

— Ani mi się waż!

Patrzyła na niego, nie przekonana wcale. Zrozumiał, że jeśli chce otrzymać jej milczenie musi ją ułagodzić i mówił z wyrazem przebiegłości.

— Babski rozum krótki. Ty chcesz, żeby z tego, co się stało, był dla nas pożytek, ja tego chcę także. Ale pożytek może być mały albo duży, rozumiesz? Ty wiesz jedno, a ja wiem drugie, trzecie i dziesiąte.

Ten argument podobał się popadji.

— A czyś pewna, że o ten krzyż idzie? — zapytał ją mąż po chwili.

— Oglądają go właśnie.

Jedniewicz poszedł ku stronie krzyża, przykląkł przy płocie, ażeby go nie dostrzeżono, rozgarnął ostrożnie sploty chmielu i ujrzał rzeczywiście sprawnika, żandarmów i chłopów, którzy pod ich czujnem okiem rozgradzali krzyż z wielką ostrożnością. Dochodziły do jego uszu zmieszane głosy, niekiedy ostre słowa badających i przyciszona, śpiewna mowa badanych, ale odpowiedzi nie mógł dosłyszeć. Podniósł się zamyślony i powrócił pod jabłoń.

Popadja wybuchnęła złośliwą radością.

— Będzie jej teraz będzie, tej dumnej pani, co, kiedy nas spotka, odwraca oczy, zbiera suknię, żeby się o nas nie otrzeć, a przed cerkwią nigdy głowy nie schyli.

— Przecież to nie jej kościół.

— Zawsze Chrystus jeden. Sam to przecież powtarzasz.

Jedniewicz westchnął.

— Ot mówiłem, mówiłem... słowo wiatr. A taki Chrystus się od nas odwrócił.

Po chwili dodał.

— Dzieci marły jedno po drugiem. Płakałem ich krwawemi łzami, a teraz myślę nieraz, że się Bóg zmiłował nad ich czystemi duszyczkami i zabrał do swojej chwały, nim poznały grzech ojca.

Mówił to ze skruchą nagłą, która wywoływała zawsze wspomnienie dzieci.

— Mamy przecież Nacię przerwała żona.

— Oj niewiem, czy ona została na naszą pociechę, czy większą żałość — mruknął. Ale jeśli ona żyje, to może dlatego, że dotknęły ją święte ręce.

— Dalibóg! Chybaś oszalał, żeby mówić takie rzeczy...

Jedniewicz jej nie słuchał i szeptał sam do siebie.

— Już była blizką śmierci... ona także. Pamiętasz przecie. Dławił ją dyfteryt, paliła gorączka, spiekłemi usteczkami chwytała powietrze. Czekaliśmy doktora... tyle mil... dziecko go nie doczeka... Mamka mówi: „Pani ze dworu ma lekarstwo. Uratowała tak samo chore dzieci Maksyma. Trza iść do dworu“... Ja iść nie śmiałem. Myślę: wyrzucą, przeklną, ja dla nich gorszy od psa parszywego... Ja może nędznik, może ostatni... Ale co winien ten biedny kwiatek... Przecież pójść nie śmiałem.

Oh! jeśli mam ciężkie winy, odpokutowałem je wówczas. Bo gdzie, od kogo wzywać ratunku?

A brała mnie taka rozpacz, że jak szalony wybiegłem z domu, byle nie słyszeć ciężkiego oddechu dziecka, nie patrzeć na jego męki... Nie mogłem pójść do cerkwi zapalić świeczki przed skonem... Trudno... Niechaj sobie palą inni. Ja? cóż ja? Ni do Boga ni do ludzi udać się nie mogłem... A Bóg zmiłował się, natchnął mamkę. Pochwyciła duszące się dziecko z kolebki, nie

pytając nikogo, pobiegła do dworu i błagała o ratunek a pani opatrzyła je własnemi rękoma.

— Przecież i żydów opatruje.

— Żydzi co innego a my co innego. Wiem ja, wiem, że drżała z obrzydzenia gdy się dotykała biedactwa.

...Chociaż... co ono winno... że musiała pokonać wstręt i niechęć a Bóg przez nią uczynił miłosierdzie nad nami.

Jedniewiczowa słuchała z wzrastającą niecierpliwością.

— Oszalał stary! Jak Boga kocham oszalał. Plecie ni to ni owo. Bóg zmiłował się, bo zabrał starsze dzieci i zmiłował, że zostawił najmłodsze. Oszalał, powiadam i mnie z nim przyjdzie oszaleć.

— Bóg miał miłosierdzie nad nimi ale i nademną. Ty tego nie rozumiesz... Ha! trudno.

— A przecież ta dumna pani Naci nigdy nie pogłaskała, nigdy nie uśmiechnęła się nawet do ślicznego dziecka, mówiła Jedniewiczowa.

— Uratowała ją, powiadam ci. Czegoż chcesz więcej...

Każde słowo tej rozmowy małżonków świadczyło o niechęci wzajemnej, o ciągłych zatargach, jednak oboje prowadzili ją głosem stłumionym. Gwałtowne słowa wypadały z ust ich po cichu, jakby wypowiadali w nich jakieś tajemnice. Oboje oglądali się ciągle z niepokojem. Usłyszawszy zaś ów szept męża, nakazujący milczenie, popadja nie uciszyła się wprawdzie, ale, jakby na znak umówiony, zmieniła przedmiot rozmowy i zaczęła z nadzwyczajną żywością biadać nad pszczołami, które nie dają tyle miodu, ile się należało spodziewać, nad sadem, w którym owoce opadają ciągle, na różne klęski i niepowodzenia. Zmieniła też od razu język. Dotąd mówiła po polsku, niekiedy tylko mieszając rosyjskie wyrazy, teraz zaś używała wyłącznie rosyjskiego języka, o ile mogła najpłynniej, nadając polskim słowom rosyjskie zakończenie i akcentując je najfałszywiej.

Widocznie utyskiwania nad brakiem miodu, gdy ten zapełniał ule, nad nieurodzajem owoców, chociaż drzewa uginały się pod ich ciężarem, przeznaczone były dla uszów, których obecności domyśliła się od razu.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Hasła.* Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Kraków. Nakładem księgarni D. E. Friedleina 1901. Str. 68.

„Dość już długo, dość już długo brzmiał na strunach wieszczów żal! Czas uderzyć w strunę drugą!“ — dzwoni głośno potrzeba, wołając o pieśni mocne, gromkie, hartowne, jak stal. Powietrzem płynie to wołanie — na szkieletach drzew bezlistnych gra, jak na harfach, pobudki ginącym marnie Wenedom, i po zepsutych dachach łopoce skrzydłami, jako jesienny wiatr. I budzi śpiących. Powstają z łożów, spotniali, i szeroko otwartemi oczyma przebijają ciemność, wsłuchując się w melodje, idące od pól. W duszach ich dziwna czyni się przemiana. I oto jeden z pieśniarzy niewielu ujmuje harfę, wiszącą u łoża, szarpie jej struny palcami ze stali, by zagłuszyć ból człowieczy ponurem *Dies irae* — drugiemu dziwny korowód weselny zszedł na oczy i wiruje dokoła chochoła, grającego szyderczym chichotem na wietrze — trzeci znowu w rozpacznym wysiłku umysłu przypomina sobie hasła, jakie w młodzieńczych snach płomiennych rzucał. Wszyscy, choć niejednako, czują, że ponad dachem ich przechodzi moc, i zewsząd słyszą rozgłośne wołanie: „Czas uderzyć w strunę drugą!“

A może to jeno złuda... Skąd? Jaka potrzeba? „Nie gawędźcie, gospodarzu, połóżcie sie spać“...

Przecie jednak chciałbym wierzyć, że z tej potrzeby rzeczy silnych, jaka dziś w powietrzu dzwoni, zrodziło się wydanie „Haseł“ Tetmajera, a nie z owego czterowiersza, zawartego, nie wiem po co, w tomiku poważnym:

„Że tak wspaniale umiem błyskać,
Sądzicie, że nie zdołam grzmieć?
Mylicie bardzo się — by ciskać
Gromy — talent też mogę mieć“.

Są to utwory dawniejsze poety, po większej części okolicznościowe, spojone jedną ideą — hasłami wolności. Nierówność w nich jest wielka, jak nierówna odległość czasu, w którym są tworzone. Są więc i rzeczy słabsze (np. „Hasło“, wiersz z Heinego), które obniżają wartość rzetelną zbiorku, ale są i ustępy przepiękne, godne mistrzów, których pamięci poświęcone. Z tych najpiękniejszy, bo najszczerszy, hymn, napisany w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Juljusza Słowackiego.

W. O.

*

Nasza współczesna poezja (szkice popularne), nap. Tadeusz Pini. Lwów, nakł. Tow. wydawniczego 1902. Autor jest krytykiem naukowym, czyli należy do tych, którzy potrafią wznieść się umysłem aż do poziomu krytykowanego autora i utrzymać się z nim na tym poziomie, a potem zdać sprawę, gdzie razem byli, co robili, wybadać, skąd co pochodzi u tego, lub owego autora, ale sądzenie, co jest dobre a co złe, wielkie, lub małe, to już najczęściej przechodzi ich siły. Krytycy naukowi dzieł współczesnych, poza sprawozdawczym charakterem swoich krytyk, nie robią zazwyczaj więcej, niż ten wróbel, który, uniesiony przez orła wysoko, podleciał potem jeczcze odrobinę wyżej i ćwierkał tam sobie wyniośle.

O ile więc p. Pini np. w pierwszym szkicu „Miłość Ojczyzny w poezjach Asnyka" charakteryzuje pierwiastek patrjotyczny w Asnyku, podaje jego rozwój kolejny, jak ten pierwiastek wzmagał się lub opadał, odpowiednio do historyi narodowej i żywota poety — o tyle jest bystrym, logicznym i przynosi rzeczywisty pożytek. Tak samo jest z jego wyprowadzeniem pierwiastka ludowego ze stosunków narodowo-społecznych w poezjach Konopnickiej, o czem traktuje szkic drugi. Pożytecznem jest także takie wyodrębnienie jednego odłamu twórczości jednego poety, jak to p. Pini robi w szkicu trzecim, gdzie z wierszy Gomulickiego wydobywa na wierzch tylko te, które dowodzą, jak ten poeta z pozornej prozy życia miejskiego umie wydobyć poetyczność. To samo wreszcie dotyczy i charakterystyk poezji w dwóch ostatnich szkicach, poświęconych Niemojewskiemu („Polonja irredenta") i Nowickiemu („Tatry"). P. Pini streszcza tam tak, że główny moment poetyczny wydobywa się wyraźnie na wierzch.

Dzięki tym zaletom szkice p. Piniego godne są polecenia. Wprawdzie tam, gdzie on np. kiwa głową nad niesprawiedliwością Konopnickiej wobec szlachty, lub zarzuca jej, „wylewanie mnóstwa łez", gdzie feruje wyrok jednostronności na Niemojewskiego i t. p., robi on wrażenie owego wróbelka, uwag jednak tego rodzaju jest tak niewiele, że nie są one w stanie wywrzeć głębszego wrażenia, zostawiając natomiast szerokie pole działania takim cechom, jak silne wmyślenie się w charakteryzowanych autorów, ulubienie przedmiotu oraz potoczysty, jasny i zajmujący przytem wykład. *S. W.*

*

Finlandja w oświetleniu literackiem. Zbior utworów pisarzy finlandzkich podług E. Brausewettera; opracowała G. Plewińska. (Bibljoteka dzieł wyborowych).

Literatura finlandzka, świetnie rozwijająca się w ostatnich czasach, posiada charakter nawskróś swojski, nawskróś ludowy. Scenerją jej bywa najczęściej, jeżeli nie zawsze, Finlandja, — surowo piękna ziemia grzmiących wodospadów i zadumanych jezior, smereków żałobnych i jaskrawych zórz borealnych. A bohaterem, dla którego poeci stroją lutnie, któremu epicy poświęcają szeroki pendzel — lud fiński, — zahartowany w walce z przyrodą północy, mężny, dumny, nieugięty lud fiński.

„Źródłem naszego natchnienia — mowi w imieniu zbiorowem jeden z najzdolniejszych pisarzy, Jürnefelt — jest przeświadczenie, że plemię fińskie ma się rozwinąć, jako naród i przy pomocy języka ojczystego stworzyć swoją własną, narodową kulturę... Wierzymy w lud fiński i jego przyszłość, — kochamy jego mowę i przeszłość, nie wątpimy w wielką zdolność kulturną i mamy to przekonanie, że jego kultura jest niezbędna dla Europy..."

Jakaż to wiara promienna i jak słodka miłość! Ale i my — ale i u nas wstaje ta miłość, ta wiara — stokroć bardziej uzasadniona — i woła po świecie ustami tych, co, jak owi poeci północy, z ziemi — z ludu wyrastają.

A oto, jeszcze jeden — z tysiąca — wybuch gorącego uczucia:

„Nakształt zielska wgryzamy się zębami i paznogciami w grunt naszej ziemi rodzinnej — zapewnia Juhani Aho. — Kto zechce nas z niej wyrwać, ten tylko garść liści zatrzyma w dłoni, a korzenie pozostaną w ziemi i nowe puszczą latorośle..."

Śmiałe, dumne słowa! — Ale i w mowie naszych serc są takie — i my to mówimy — nie tylko piórem i pługiem, jak oni, ale i ostrzem miecza!

Rzecz dziwna: nie samym jeno nastrojem, lecz i treścią krewni się piśmiennictwo ludowe dalekiej tej ziemi z naszem. Są tu szarpiące obrazy głodu i nędzy górskiego ludu, któremu straszne białe widmo mrozu niszczy w jednej chwili plon całorocznej pracy, — są skargi-klątwy na spekulantów, co niszcząc lasy, popełniają „czyn okrutny względem matki-karmicielki".

Ale w tych obrazach i skargach przebija się jednak własny indywidualizm pisarzy finlandzkich, — daleki, bardzo daleki od naszego. Tu w cichy płacz skargi wpada nagle jasna nuta, coś jakby pobudka rzeźwiąca — i gra z tryumfem finale zwycięzkie; — tu na ponure tło obrazu pada niespodzianie smuga światła, srebrna, jak noce letnie Finlandji, co mają daleką glorję dnia na czole marzącem.

Oto przykład:

„Tuż przy błoniach Sarrijärvis mieszkał Paavo na zagrożonym przez mróz folwarku, uprawiając swe pole pracowitemi rękami, lecz od Pana wyglądając plonu. Mieszkał tam z żoną i dziećmi, spożywając z niemi w pocie czoła skąpy kawałek chleba, kopał rowy, orał i zasiewał.

„Z wiosną stopniał śnieg na jego roli, a woda uniosła połowę zasiewów; w lecie spadły grady i zbiły drugą połowę zboża już w kłosach, a w jesieni mróz zniweczył resztę. Żona jego rwała włosy z głowy i rzekła: „Paavo, nieszczęsny starcze weź kij żebraczy. Bóg odtrącił nas od siebie! Ciężko jest żebrać, lecz ciężej umierać z głodu".

„Paavo ujął rękę małżonki i rzekł: „Pan doświadcza nas tylko, lecz nie odtrąca! Mieszaj do chleba korę po połowie z mąką, a ja wykopię rowów drugie tyle i będę od Boga wyglądał plonu."

„Żona jego piekła odtąd chleb napół z korą. Paave wykopał drugie tyle rowów, a na zasiew kupił zboża z pieniędzy, wziętych za owce.

„Z wiosną znów stopniały śniegi, ale nie uniosły już zasiewów. Latem grady zbiły już tylko połowę plonu,

lecz w jesieni przymrozek zabrał resztę. Żona Paava tłukła się pięścią w piersi i wołała: „Paavo, Paavo, nieszczęśliwy starcze, umrzyjmy lepiej, bo nas Pan odtrącił! Ciężko jest umrzeć, ale żyć jest ciężej!“

„Paavo ujął rękę małżonki i rzekł: „Pan doświadcza, ale nie odtrąca. Mięszaj dwa razy tyle kory do chleba, a ja będę kopał dwa razy głębsze rowy i od Boga wyglądał plonu.“ Kobieta brała odtąd dwa razy tyle kory do chleba, Paavo kopał dwa razy głębsze rowy i na zasiew kupił zboża, sprzedawszy krowę.

„Z wiosną znów stopniały śniegi, ale nie uniosły zasiewów. Latem grad wcale nie uszkodził plonów, a w jesieni przymrozki oszczędziły złote kłosy i dozwoliły im doczekać żniwa. Wtedy Paavo padł na kolana, mówiąc: „Bóg, Pan nasz, doświadcza nas, lecz nie odtrąca!“ Żona także padła na kolana i rzekła: „Pan doświadcza, ale nie odtrąca.“ I z radością ozwie się do męża: „Paavo, Paavo, bierz się żwawo do sierpa! Teraz przyszły dla nas dni szczęśliwe! Teraz pora już porzucić korę i piec chleb z czystego żyta!“ Lecz Paavo ujął dłoń żony i rzekł do niej: „Niewiasto, ten tylko zdoła przenieść próbę losu, kto nie odtrąca bliźniego w niedoli! Mieszaj po połowie korę do chleba, gdyż zmarzł plon na polu sąsiada“.

Tyle słów finlandczyka Runeberga. U nas inaczej... Nasze Bartki nie walczą jak Paavo, z tą zaciętością, która zwycięża zawsze, zwyciężyć musi.

To też dobrze uczyniła „Biblioteka dzieł wyborowych“, przyswajając naszemu piśmiennictwu szereg takich właśnie obrazków ludowych. Pisane przez chłopów-poetów, posiadają one wagę dokumentów ludzkich, a wiara w przyszłość ludu, która z nich bije jasnym zdrojem, podnosi ducha, bo kto mówi: wiara! — ten mówi: zbawienie! *M. W.*

PISMA. *Echo muzyczne* warszawskie daje początek studjum niepodpisanego autora p. t. „Stosunek dzieł Paderewskiego do muzyki ludowej“. Widać, że artykuł napisany przez fachowca i ze znajomością tajemnic kompozycji muzycznej. Tembardziej dziwić może takie zdanie, wyjęte z wymienionego artykułu, jak: „Styl Paderewskiego dopiero miał się ujawnić pod wpływem głębszych studjów muzyki ludowej polskiej. Początkowo ujęły młodego twórcę tańce i pieśni górali tatrzańskich prymitywną siłą swych rytmów, następnie zauważyć można. że w g ł ę b i ł s i ę i o g a r n ą ł c a ł y o b s z a r m u z y k i l u d o w e j“. Dotąd największy „obszar“ muzyki ludowej naszej ogarnął Chopin, dając temu obszarowi pojęcie etniczne; będą to tylko Kujawy, Mazowsze i nic więcej. Nie motywujemy tego szerzej, bo też i autor powyższego „studjum analitycznego“ nie motywuje swoich twierdzeń, i spodziewać się można ze wstępu, że w dalszym ciągu to uczyni.

W. O.

„*Miesięcznik Towarzystwa szkoły ludowej*“ ze stycznia br. zawiera artykuł, w którym p. St. Nowicki rozpatruje, jak zbawienny wpływ wywrzećby mogły Koła włościańskie T. S. L. na podniesienie i poprawę fizycznych i moralnych warunków, wśród jakich lud nasz żyje. Poglądy autora wydają nam się nieco jednostronne, jak np. twierdzenie, że wiekowe zaniedbanie oświaty ludu jest przyczyną, iż lud nasz jest fizycznie i umysłowo leniwy, że mieszka licho, nędznie się odziewa, źle się odżywia, nie umie się śmiać i bawić, nie umie się częstokroć sam rządzić i sam bronić swego prawa. Autor przeoczył zupełnie przyczyny ekonomiczne, polityczne i społeczne obecnej niedoli i niskiego stopnia kultury u naszego ludu, a przecenia natomiast znaczenie oświaty, jako jedynego czynnika, wpływającego na dobrobyt, kulturę, swobodę polityczną i samorządne uzdolnienie.

W tem jednak można się zgodzić z autorem, że w dzisiejszych usiłowaniach ku podniesieniu oświaty ludu, brak istotnie systemu jednolitego i programu działania. Koła włościańskie T. S. L. mają być, według autora — pierwszym terenem bezpośredniego zetknięcia się i porozumiewania inteligentnych sfer naszych z ludem. Na tym gruncie radzi autor dopiero rozpocząć dalszą działalność; naukę czytania i pisania, organizowania w stosownych miejscach regularnych, systematycznych odczytów i wykładów, teatru ludowego wędrownego, koncertów i zabaw. O ile wyrozumieliśmy trochę niejasno stylizowane konkluzje, p. St. Nowicki proponuje, w celu rozpoczęcia akcji na tak szeroką skalę, ujęcie w pewien związek, w pewną wspólną organizacyę z T. S. L. pokrewnych instytucyj, jak np. Uniwersytetu ludowego, Powszechnych wykładów uniwersyteckich, komitetów wydawnictw ludowych, towarzystw teatralnych i zabawowych itp. Myśl to godna rozwagi.

S. M.

SZTUKA. *Pomniki Krakowa — Architekt.* W Polsce wychodzą obecnie dwa wydawnictwa czasowe, poświęcone sprawom sztuki w Polsce. Pierwszem z nich są „Pomniki Krakowa“, rysowane przez Maksymiljana i Stanisława Cerchów, z treścią objaśniającą Dra Feliksa Kopery, obecnego dyrektora Muzeum narod. w Krakowie. Z wydawnictwa tego ukazał się już dwudziesty drugi zeszyt. Nie sposób jest słowami opisywać różnorodności i znamiennych cech tych pomników, rysowanych z benedyktyńską dokładnością. Ostatni numer przynosi też powtórzenie znakomitego dla dziejów naszej kultury i historji sztuki odkrycia, dotyczącego początków sztuki renesansu na ziemiach polskich, dokonanego przez prace p. Dr. Feliksa Kopery. — Chodzi tu o pomnik króla Olbrachta, którego niesłychanie wczesną poza Włochami, datę roku 1501, naukowo stwierdził po raz pierwszy powyższy polski uczony.

Jeśli o „Pomnikach krakowskich“ mówić można, że mimo drobnych (w wyborze przedmiotów do publikacji) usterek, są wybornym przyczynkiem do poznania sztuki polskiej, to organ architektów polskich. „Architekt“ jest wydawnictwem znowu tak nie dla polskich artystów redagowanem, jak to tylko sobie wyobrazić można.

Panowie architekci piszący tam, wiecznie jeszcze „wojażują“ po Włoszech i po raz Bóg wie jaki dają czytelnikowi oklepane fotografje włoskich pomników sztuki. To za temi „wojażami“ po obcych krainach, zjawia się

od czasu do czasu projekt pp. Odrzywolskiego, Dziekońskiego lub fotografje z gotowo wystawionego budynku bez żadnego krytycznego ocenienia i na tem basta. Jak bezkrytycznie pomieszczają się tam „utwory“ naszych „mistrzów“, niech posłuży następujący przykład. W numerze 8-mym, (rocznik II-gi) „Architekta“ jest pomieszczona fotografja furty Dominikańskiego klasztoru dopełnionej przez p. architekta Hendla.

O tej furcie jest w tem piśmie notata następującej treści: „Przy tej sposobności restauracji okazała się potrzeba mouumentalniejszego niż dotychczasowe wejścia do klasztoru, stąd wyszedł wykonany projekt furty, którą autor stworzył na tle krakowskiej attykowej architektury“. Otóż parter tej furty jest w delikatnym i ładnym baroku, dopełnienie zaś „monumentalniejsze“, polega na tem, że architekt Hendel na parter postawił ciężką i fałszywie pojętą, choć z Sukiennic zapożyczoną attykę. W ocenieniu tego szczytu mogę się mylić, natomiast idea postawienia form z wcześniejszej warstwy stylowej, jaką jest renesans, na barokowy pień, jest tak potworną i dodajmy... bezmyślną, że wprost nierozumiemy, jakim sposobem się ona wogóle w głowie artysty wyłądz mogła. Budynek nawet dzisiejszy, może mieć parter romański, pierwsze piętro gotyckie, drugie piętro renesansowe itd,. ale odwrócić tę historyczną kolejność form, to jest to samo, co w przyrodzie, drzewo gałęziami na ziemi ustawić, a korzenie jego wznieść do góry. Dodać potrzeba jeszcze, że formy renesansu są surowsze od barokowych, to jest jednem słowem, że w restauracji p. Hendla tkwi barbarzyństwo nietylko idejowe ale i estetyczne.

Wolno niestety p. Hendlowi taką szpetną rzecz stworzyć, ale nie wolno jej podawać jako wzór do naśladowania innym architektom w urzędowem niejako czasopiśmie, jakiem jest „Architekt“. Sprawie sztuki narodowej „Architekt“ nie poświęca dużo miejsca. Jedynie wartościowe i to na poły (o ile sito kliszy form nie poniszczyło) są zdjęcia prześlicznych drzwi i kominków zamku w Baranowie.

W numerze 5-tym wprawdzie ruszyło redakcję „Architekta“ sumienie i na skutek tego widocznie, p. Ekielski poświęcił parę słów „sztuce rodzimej“, dając projekta p. Rutkowskiego i Kowátsa, powtórzone za wydawnictwami Akademji rysunki malarza Wyspiańskiego kościółków z Sękowej i Korzennej, dwie fotografje bezimiennych „cerkwi unickich na Rusi“ i fotografję kasetki, projektowanej przez p. Stanisława Witkiewicza, z szumnym i bezmyślność znamionującym podpisem: „Starożytna skrzynia“. — Ostatni numer a 1-szy rocznika III-go, nie daje także nic a nic sztuce polskiej. Otóż wolno każdemu redagować pismo nawet podobne jak „Architekt“, jak kto chce, ale wolno też powiedzieć na to, że marnowanie papieru, druku i nakładu dla rzeczy bez wartości, a szczędzenie go dla spraw sztuki narodowej, a szczególnie dla odtwarzania pomników i zabytków dawnych i zdobień u ludu przechowanych, jest grzechem przeciwko Duchowi Narodowemu, za który niemasz „odpuszczenia“ ani w narodzie, ani po za narodem w Europie.

Kaz. Mokł.

NOTATKI. *Zamach na polską scenę w Warszawie.* Komisja do spraw teatru rosyjskiego w Warszawie, jak donosi „Warszawski Dniewnik“, proponuje, aby rosyjskie przedstawienia dramatyczne rozpoczęto już od jesieni roku bieżącego w teatrze w ogrodzie saskim. Utworzona dla rosyjskich przedstawień dramatycznych trupa, będzie pozostawała pod ogólnym zarządem dyrekcji teatrów rządowych. Ilości przedstawień nie ustanowiono; w każdym razie będzie ich najmniej cztery w tygodniu.

Dla zrozumienia doniosłości tego doniesienia powinniśmy przypomnieć, że teatr w Warszawie jest jedyną instytucją publiczną, gdzie rozbrzmiewa język polski. Dlatego to pomimo lichego repertuaru teatru warszawskiego zachowanie jego polskości jest rzeczą nieobojętną. Teatr polski w Warszawie wyuczał przybywających tam Moskali języka polskiego w krótkim przeciągu czasu. Za czasów Hurki uznał rząd, teatr warszawski za polonizacyjną instytucję. W 1891 r. sprowadzono do Warszawy teatr rosyjski, wywołało to nawet pewne zaburzenia; psuto np. witryolem odzież publiczności rosyjskiej, zebranej w teatrze Od tego czasu co rok na parę tygodni przyjeżdża teatr rosyjski do Warszawy. Prasa polska jest wówczas zmuszóną przez cenzurę zawieszono recenzje o rosyjskich przedstawieniach.

Obecnie, gdy ustalą teatr rosyjski w Warszawie, stworzą pasożyta, który w końcu zniweczy tam teatr polski. Najpierw będzie on zasilany z nadwyżek dochodów teatru polskiego, następnie zaczną Moskale uskarżać się, że ich teatr nie może wytrzymać konkurencji z polskim, wówczas to rozpoczną się ciężkie dni dla teatru polskiego, które skończą się albo stopniowym, zupełnym upadkiem jego, albo gwałtownem jego zniesieniem.

Wł. St.

*

W sprawie książki „Rok 1863 na Rusi“. Od autora recenzji książki p. Rawity-Gawrońskiego p. n.: „Rok 1863 na Rusi“, otrzymujemy następującą notatkę:

W sprawozdaniu o książce p. Gawrońskiego nadmieniłem, że autor nie uwzględnił stanu umysłowego społeczeństwa na Rusi, w przededniu powstania, i nie uwzględnił wybitnej i bardzo żywej działalności rodziny Korzeniowskich, — a zwłaszcza Apolla Korzeniowskiego. Obecnie dowiaduję się z najkompetentniejszego źródła, że sprawy te mają być należycie oświetlone w niebawem ukazać się mającym tomie drugim — o którego zamierzonem wydawnictwie nie wiedziałem.“

Ernest Łuniński.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8